

Karina
Wojciechowska



Niebo ustane
grzechami

Karina Wojciechowska

*Niebo ustane
grzechami*

© Copyright by Karina Wojciechowska & e-bookowo & Magia Słów
Projekt okładki: e-bookowo
ISBN wersji elektronicznej 978-83-7859-002-6
ISBN wersji drukowanej 978-83-7859-004-0

Wydawcy:
Magia Słów Monika Sawicka
www.monikasawicka.pl
kontakt: autor@monikasawicka.pl
Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

I rozdział

Facet w kosmosie

Po raz chyba setny w życiu wrębałam się w jakąś chorą sytuację. Gdzie ja szukam tych facetów? Chyba wyciągam ich z samego piekła! A może to ja działam na nich w sposób przedziwny i uruchamiam w nich te wszystkie złe cechy, którymi później robią mi krzywdę? Tak, na pewno to wszystko moja wina. Przy mnie zmieniają się w sukinsynów? Co we mnie jest złego? Kaśka mówi, że jestem najfajniejszą laską na świecie. Beata twierdzi, że nie zna nikogo, kto bardziej niż ja zasługuje na miłość. Wiem, wiem, kochamy się i to dlatego. Miłość między kobietami... Faceci nigdy tego nie rozumieją. Kiedy myślą o miłości między mężczyznami, od razu robi im się niedobrze. No chyba, że mówimy o pewnej grupie facetów, którym nie robi się niedobrze. Generalnie, zawsze kiedy myślę „facet”, to chodzi mi o człowieka, który jest niezbędny do życia, z którym życie potrafi być piękne, dobre, bezpieczne, ale który przy okazji potrafi dać w kość tak, że ma się ochotę wywalić go na księżyc, i żeby nigdy więcej facet z stamtąd nie wrócił. Po drodze na ten księżyc fajnie by było, żeby urwało mu jądra. Właśnie tak się czuję w tej chwili. Tym razem ma na imię Adam. Zdeptał mnie, po raz kolejny. Powiedział, żebym się wyprowadziła, że to nie ma sensu, że się pomylił. Nie mam się dokąd wyprowadzić. Nie mam pracy, a moje oszczędności się skończyły. Czuję się jak zbity pies, jak człowiek bez honoru, jak śmieć. Na szczęście mam tę cechę, że mimo tego, że teraz nie chce mi się żyć i gdybym była egoistką, o co mnie też oskarża, to połknęłabym jakieś prochy, albo podcięła sobie żyły, to wiem, że się pozbieram i dostanę siły słonia i jeszcze mu pokażę. Gówno! Nikomu nic nie pokażę, ale nie dam się tak gnoić. Zaraz coś wymyślę. Wracając

do Kaśki, to jest przyjaźń bez podtekstu erotycznego, chociaż zapewne żadna z nas by się nie obraziła. Bardzo się lubimy. Jestem dużo starsza od niej, ale podobno dobrze się trzymam. Znalazłam ją na bankomacie. Wyciągałam kasę z bankomatu, a obok wisiało ogłoszenie: „Udzielam korepetycji: język angielski, matematyka. Kasia.” No i tak Kaśka do dzisiaj doucza moje dzieci i awaryjnie pomaga im w lekcjach, chociaż po pызatyh kilkulatkach zostały już tylko sterty fotek. Kaśka miała wówczas krzywe zęby, była pulchna i miała niewiele lat. Przyjechała na rowerku, zwróciła się do mnie: „Proszę pani”. Teraz ma śliczne zęby, jest laską i już nie jest podlotkiem. Prowadzi swoją szkołę językową, robi doktorat i jest strasznie zakręcona. Zakręcona jest od czasu kiedy zaprzyjaźniła się ze mną, wcześniej była do znudzenia grzeczna i poukładana. Już nie mówi mnie „pani” i mamy do siebie słabość, taka babska mięta. Ostatnio zwierzała mi się, że ma już dosyć pracy, faceta, głupich ludzi i że chyba wyjedzie na rok do Grecji. Puknęłam ją w głowę i mówię: „Głupia babo, nie uciekaj, siedź na tyłku i rozwiązuj swoje problemy. Taki jest nasz los, tak trzeba.”

Dobra, wystarczy mi tych lez wylanych przez kolejnego gościa, że myślał, że jestem inna i w związku z tym można po mnie jeździć, znęcać się nade mną psychicznie i oczekiwać, że będę wdzięczna i miła za to, że mogę mieszkać u niego i daje mi na waciki. Kaśka ma rację, jestem fajna, jestem dobra i całkiem ładna. To nic, że goni mnie czterdziestka. Muszę myśleć o tym, że przeżyłam dopiero połowę. U mnie w rodzinie prawie wszyscy dociągnęli setki. No to mam jeszcze kupę czasu. Dzwonię do mojej bratniej duszy:

– Kasiu, to ja.

– Dobra, już słyszę. Co tam znowu skarbie? Wsiadaj w auto i nagi-naj do mnie. Jestem sama, Artur wyjechał do rodziców, też mi nie za fajnie.

– Nie mogę, wypilałam kilka drinków. Jakbym nie wlała w siebie po-łowy flaszki, to nie powiedziałabym ci tego co chcę ci teraz powiedzieć.

– Beze mnie się upiłaś? Zaczynam się bać. To, kobito, brzmi strasz-

nie. Zamieniam się w słuch. Jakby co, to ja mogę przyjechać do ciebie. A, nie, czekaj, nie mam lewego reflektora. Dupa.

– Dobra, ale daj mi to powiedzieć, bo za chwilę mi przejdzie, wytrzeźwieję i tego nie powiem. Przejdzie mi i dalej będę się czuła jak szmata. Rozumiesz, nie? Wszystko wróci do normy. Pranie, sprzątanie, uśmiechanie się i udawanie, że jestem z nim bardzo szczęśliwa. A to, że ma złe dni, to nic, przecież ma do tego prawo. Ciężko pracuje, ma streśy. Mnie nie wolno mieć napięcia przedmiesiączkowego, on wyrabia normę za wszystkie baby w mojej rodzinie.

– No dobra, ale o co ci chodzi, bo chyba nie o porządki, czy okres?

– Chcę jechać z tobą do tej twojej Grecji. Już, teraz, jutro, w tej chwili. Mam dość swojego życia. Nie mogę się nie szanować. Chcę stąd uciec. Mam dosyć wszystkiego.

W słuchawce dłuższa cisza.

– Kasia, jesteś tam?

– Tak, jestem. Jedziemy z dziećmiakami?

– Nie, nie mogę ich zabrać, przecież mają szkołę. Musimy dać radę. One też zrozumieją. Wiesz przecież, że są mądre. Co ja bredzę? Nie damy rady. Ja nie dam rady, ale nie mogę inaczej, muszę. Pogadam z nimi jutro. Jedziesz, czy nie?

– Dobra, siadam i szukam biletów. Ale na „już, teraz, jutro” będzie ciężko. Daj mi miesiąc. Muszę się zorganizować. Studenci dadzą beze mnie radę, ale Sheesha niekoniecznie.

Nie wiem, czy robię dobrze. Może popełniam kolejny błąd, ale nie potrafię stanąć twarzą w twarz z problemami, które dopadły mnie dzisiaj. Czuję, że muszę od tego uciec, zresetować się, zostawić to, co mnie dołuje i sprawia, że tracę wiarę w samą siebie. Słońce mi to ułatwi, może nie wpadnę w kolejną depresję? A teraz napiszę jeszcze do Justyny, inaczej będzie się martwić.

E-mail: „Kochana Justynko. Dzisiaj, zupełnie spontanicznie postanowiłam porzucić to błotko, w którym od jakiegoś czasu grzęznę. Je-

stem straszliwie przemęczona i nie mam już siły na kolejne bitwy, które muszę toczyć w wojnie wywołanej przez ludzi, po których agresji nie spodziewałam się wcale. Postanowiłam wyjechać z kraju. Nie wiem na jak długo i jeszcze nie jestem pewna, dokąd. Porywam ze sobą Kaškę, a może to ona porywa mnie? Tak, musisz przez jakiś czas obyć się bez naszych babskich spotkań, plotek i najlepszych przyjaciółek na świecie. A teraz trochę poważniej. Smucę się strasznie, bo zostawiam dzieci, ale muszę to zrobić, by odnaleźć siebie. Zgubiłam gdzieś po drodze sens życia i jeżeli będę nadal w tym tkwić, za jakiś czas nie odnajdę już radości, którą zawsze miałam w sobie, nie znajdę już mocy, którą potrafiłam przenosić góry. Nie sądziłam, że kiedykolwiek w życiu stanę w tym miejscu. Jest mi straszliwie źle, umieram z rozpacz. Marzyłam, że w tym wieku, będę miała śliczny dom wypełniony dziećmi i męża, który zestarzeje się ze mną. Nic mi nie wyszło. Muszę pogodzić się z tym, że to koniec pewnego etapu w moim życiu, ale ciągle nie mogę dostrzec, gdzie jest jakiś kolejny. Nie martw się o mnie, będę do Ciebie pisać.”

Do Beaty zadzwonię przed samym wyjazdem. Nie mam odwagi powiedzieć jej, że wyjeżdżam na długo. Wiem, że będzie tęsknić. Ja zresztą też, i to bardzo.

Roczna Kaškowa kotka Sheesha musi dać radę bez Kaški, skoro zakładałam, że moja dzieciarnia, która od zawsze była dla mnie całym sensem życia, da radę beze mnie. Wytarłam nos w rękaw i zebrałam się do zmiany swojego życia na lepsze. Do obciachowo różowej walizy Samsonite'a zapakowałyśmy trochę bielizny, sportowe buty i klapki, zapas kremów na cellulit i ujędrniających biust. Kremów z filtrem brak, lubimy ciepło i słońce. Wgramoliliśmy się do absurdalnie ciasnych foteli Wizzaira i po miesiącu z górką działań organizacyjnych typu tłumaczenie Zosi, jak ugotować pomidorową i Stasiowi, że sprzątanie pokoju raz w miesiącu to przy jego alergii zdecydowanie za rzadko, byliśmy w drodze do Aten.

Jeszcze tylko dwie godzinki obok żywiołowo gestykułującego Greka o dźwięcznym imieniu Jorgos (podobno tak na imię ma 30% mężczyzn;

pozostałe 70% – na dwoje babka wróżyła – Kostas albo Dimitris). Po cholere Kaśka wdawała się z nim w dyskusję na temat skuteczności strajków generalnych i ich szkodliwości dla gospodarki kraju? Powinni się cieszyć, że mają dużo plaż i dużo słońca! Potem godzinka w autobusie miejskim z lotniska na Plac Syntagma, to ten, na którym rokrocznie studenci, kolejarze, emeryci tłuką się z policją, a potem metrem na stację kolejową wielkości tej w podlódzkich Koluszkach i przy dobrych wiatrach za kolejne osiem godzin wysiadziemy na dworcu w Salonikach, tfu, Thessalonikach, Grecy nie skracają tej nazwy, co za głupi pomysł? Thessaloniki są drugim co do wielkości miastem Grecji. Mają podobno piękną nadmorską promenadę, jak znalazł na poranny jogging (szczególnie przy średniej temperaturze latem 35 stopni, a mamy czerwiec).

Kaśka, zanim wyjechała na studia do Thessalonik, była najbardziej poukładaną kobietą w Układzie Słonecznym i wzorową studentką. Pojechała, ledwie zaliczyła semestr, ale za to zjeździła Grecję wzdłuż i wszerz, a nawet wplaw. I podczas tych wojaży właśnie, siedząc na pace kolejnego pick-upa prowadzonego przez pijanego pasterza, poukładana Kaśka poddała swój pogląd na życie solidnemu przewartościowaniu. Wyszło jej, że wyścig szczurów to w sumie nie dla niej, i że zdecydowanie fajniej jest zajmować się w życiu picciem kawy z przyjaciółmi i wystawianiem buzi do słońca. Do Polski wróciła z mocnym postanowieniem skończenia z nudnym życiem kujona i grzecznej dziewczynki. Tu zaczęły się schody. Nie tylko w postaci permanentnie występującej u nas anomalii pogodowej pod postacią deszczy i zimna, ale przede wszystkim braku kompanów do siedzenia przy kawie i rozmowy o byle czym. Od tamtej pory, czyli od paru ładnych lat, Kasia kombinowała, jak wrócić i poukładać siebie w ukochanej Grecji.

Jednak, kiedy co roku wpadała na wakacje do swoich greckich przyjaciół, słyszała od nich pełne dezaprobaty cmokanie „ochi edo!” – byle nie tutaj. Przyjaciele powtarzali, że w Grecji nie żyje i nie pracuje się normalnie. U nich tylko „święta, wakacje i strajki?”. Coś musiało w tym być, skoro trzecie w kolejności greckie słowo, jakiego nauczyła się na nowej

ziemi, to aperia – strajk. Pierwszym było „malaka” – odpowiednik naszego kretyna, choć dosłownie oznacza „masturbant”, a drugim – „imiglikos krasi” – wino półsłodkie. „Imiglikos” nauczyła się już pierwszego dnia pobytu w Salonikach, zagadując przypadkowego przechodnia o to, co oznacza napis wymalowany na elewacji wszystkich budynków uniwersyteckiego kampusu, zaniepokojona perspektywą zgłębiania wiedzy w tak zdewastowanych obiektach. Z czasem okazało się, że nie tylko elewacja budynków jest zdewastowana. Na wydziałach trudno było o zachowaną w całości muszlę klozetową, w budynkach mieszkaly chętnie przez studentów dokarmiane bezdomne psy, a rzeźby stylizowane na antyczne, służyły za popielniczki i wieszaki na ubrania. Dla Polki przyzwyczajonej do chłodu błyszczących w słońcu, przeszklnych budynków uniwersyteckich wybudowanych za unijne pieniądze, grecki campus przypominał squat. Tylko co do jednej kwestii można było mieć pewność: na każdym wydziale można było tanio kupić mrożoną kawę frape i to w kilku wariantach: z mlekiem lub bez i trzema opcjami dosłodzenia – obrzydliwie słodka, bardzo słodka, nieznośnie gorzka.

Prawie co wieczór Kaśka biegła za winkiel budynku, w którym mieszkała, chowała się w budce telefonicznej i gadała ze mną, opisując mi swoje nowe życie, ciesząc się dziwnym światem i użalając nad problemami sercowymi. Oj, Grecy! Dali jej w kość. Przystojni, namiętni i niestabilni uczuciowo. Popłynęła całkowicie, ale wcale jej się nie dziwię.

Nasze rozmowy z budki telefonicznej miały bardzo różny przebieg, czasem pękaliśmy ze śmiechu, czasem obie plakałyśmy jak bobry, ale najbardziej zapamiętałam jedną, kiedy to o godzinie dwunastej w nocy w trakcie naszych pogadań nagle Kaśka zaczęła krzyczeć mi do słuchawki, że do szyby budki telefonicznej przykleił się goły facet. Obnażony ekshibicjonista oparł się o drzwi i blokował jej wyjście. Darła się jak wściekła, a ja umierałam z przerażenia i niemocy. Nagle połączenie zostało zerwane. Nie mogłam dodzwonić się na jej komórkę, w budce też nie odbierała. Nie spałam całą noc, wyobrażałam sobie, że została

zgwalczona i pokrojona na kawalki, umierałam ze strachu. Rano zadzwoniła Kaśka:

– Cześć, co tam?

– Jakie co tam? Czy ty oszalałaś? Całą noc nie śpię, nie mogę się do ciebie dodzwonić. Myślałam, że ten zboczeniec cię zabił.

– A to, sorry, zapomniałam. Wiesz co, tutaj to normalne. Dziewczyny często tak mają, opowiadały mi o tym, więc tak bardzo się nie bałam, a telefon po prostu mi się rozładował.

– Świetnie, bo ja nie spałam całą noc, bałam się o ciebie i teraz nie chce mi się z tobą gadać – odłożyłam słuchawkę.

Kasia nie miała dużych trudności w aklimatyzacji, w czym dużą rolę odegrało wspomniane już wcześniej greckie półsłodkie wino, chmara znajomych i oczywiście owi przystojni Grecy. Pomogła również przyjaźń z Jannisem. Młodszy od Kasi o parę lat, otoczył ją opieką tłumacza z greckiego na angielski. Dzięki niemu nauczyła się rozumieć i nawet trochę mówić po grecku.

Nie miała wyjścia – nowy kolega bardzo chciał się pochwalić przyjaciółką z odległej, skutecznej lodem i zacofanej gospodarczo Polski, w związku z czym ochoczo ciągnął ją do rodziny i znajomych, którzy do angielskiego palili się zdecydowanie mniej niż on sam.

I tym sposobem Kasia została moim przewodnikiem do nowego jutra. Zaczynam nowe życie. Jeszcze nie wiem na jak długo. Nie mam pojęcia, ile wytrzymam, bo w zasadzie, to już tęsknię za dziećmi, ale wiem, że muszę się przestawić i zrobić to dla siebie. Muszę odnaleźć się na nowo.

II rozdział

Tak zwany RESET

Dotarliśmy na miejsce. Na kilka dni zatrzymujemy się u matki byłego Kaśki. Nie wiem, co do siebie mówią, bo cały czas nawijają po grecku, ale widzę, że bardzo się lubią, a może nawet w jakiś sposób kochają. To dziwne, przecież to niedoszła teściowa, a z teściowymi relacje zwykle bywają zgoła inne. No tak, ale ta teściowa jest niedoszła, to tłumaczy tę wzajemną serdeczność. Konstantinos jej syn, a były Kasi, jest aktualnie w wojsku i tylko dlatego możemy tutaj pomieszkać. O ile relacje Kasi z panią Petronią, są bardzo dobre, to relacje Kasi z Konstantinosem są nie do końca pozytywne. Jej były chłopak jest niezadowolony z takich kontaktów mamy. Uważa, że tylko gadają o głupotach, palą marihuanę i piją to „cholerne” półsłodkie wino. Na szczęście go nie ma, a poza tym jest totalnie uzależniony od swojej mamy psychicznie i finansowo, i musi godzić się z jej wyborami znajomych. Dla nas to o tyle dobre, że po tej męczącej podróży, możemy wziąć prysznic, zjeść coś dobrego i przygotować się do dalszej podróży. Odświeżone rozsiedamy się przy stole w kuchni. Pani Petronia próbuje nawiązać ze mną kontakt werbalny, ale nie mówi po angielsku, a ja jeszcze nie znam greckiego i próba ta wychodzi żałośnie. W pewnej chwili uśmiecha się bardzo serdecznie, podnosi wskazujący palec do góry, mówi coś po swojemu, wstaje od stołu i zaczyna grzebać w szafkach kuchennych. Kasia śmieje się głośno, a ja nie wiem o co chodzi.

– Kasia, co ona powiedziała, czego szuka w tych szafkach?

– Zaraz zobaczysz. Zaraz nastąpi przełamanie barier językowych – odpowiada moja rozbawiona towarzyszka podróży.

I mama, bo tak na panią Petronię mówi Kasia, wyjmuję z kredensu półtorej kilogramowy pojemnik, w którym w warunkach kuchennych powinna spokojnie przebywać sobie mąka, cukier lub jakaś kasza gryczana. Odkręca wieczko i przechyła pojemnik w moją stronę. Oczom nie wierzę, jest po brzegi pełen marihuany. Obie zaczynają śmiać się jak nakręcone, domyślam się, że ten śmiech został wywołany przez mój wyraz twarzy. Zapewne nie mam teraz mądrej miny. Jeszcze czegoś takiego nie widziałam, a już na pewno nie u dojrzałej, może nawet starszej pani i do tego w kredensie kuchennym. Kasia odchodzi od stołu i otwiera drzwi malej spiżarni, która mieści się przy piecyku gazowym. Wyjmuję z niej „cholerne” półsłodkie wino i w ten sposób zaczynam poznawać prawdziwą Grecję, nie tą z prospektów biur turystycznych, ale taką trochę naćpaną i lekko pijaną. Jest fajna, podoba mi się ta wersja.

Przez kolejne dni poznaję inne oblicza tego kraju i w niczym nie przypominają mi one opisów z przewodników turystycznych, czy tego, co słyszałam od Kasi. Kaśkę usprawiedliwiam, bo jej obraz był wypaczony przez miłość, hormony i wino. Jednak nie wiem jak mogła nie zauważyć tego bałaganu, brudu, tłoku, chaosu urbanistycznego i strajku śmieciarzy. Przecież tu nie da się żyć! Jednak ona odnajduje się w tym wszystkim świetnie. Zwiedzamy Saloniki, przemieszczając się autobusami. Kiedy podchodzę do kiosku i chcę kupić bilety, Kasia odciąga mnie i mówi:

– Co ty, szkoda kasy.

Staje przy koszu na śmieci ustawionym na przystanku autobusowym i zaczyna w nim grzebać.

– Kaśka, co ty, zwariowałaś!!

– Spoko, zaraz znajdę.

– Co znajdziesz?

– No jak to, co? Biletów szukam.

Odsuwam się od wariatki i udaję, że jej nie znam. Kątem oka przyglądam

się temu, co robi. Za Kasią ustawila się kolejka. O co chodzi, czy ci ludzie czegoś od niej chcą? Nie podchodzę, bo najnormalniej w świecie wstydę się i to bardzo. Widzę, że już znalazła, bo zadowolona idzie w moim kierunku, a facet, który stał za nią, robi to samo, grzebie w śmieciach.

– Co ty zrobiłaś? – pytam oburzona.

– Nie stresuj się, jak zauważyłaś, wszyscy tak robią. To nic takiego, tylko przejaw zaradności. Nauczylam się tego od innych studentów. Bilety są na półtorej godziny, nikt tego nie wykorzystuje i takie niezużyte można znaleźć w koszach. Nauczę cię szukać. Biegiem, autobus przyjechał!

Autobus nie podjeżdża na przystanek, staje na środku jezdni i blokuje cały ruch. Nie ma możliwości podjechania na wyznaczone miejsce, bo samochody ustawione są ciasno, jeden koło drugiego i nikt nie przejmuje się, że w tym miejscu jest postój dla środka komunikacji miejskiej. Do tego auta zaparkowane są w dwóch rzędach, co wydłuża dystans, który musimy pokonać, by wsiąść do busa, który nie czeka na przedzierających się do niego ludzi i zamyka drzwi po pięciu sekundach. Tak więc czekamy na następny, ale tym razem już nam się uda, ponieważ już wiem, o co chodzi. W autobusie potworny ścisk i nie ma mowy, żeby ktoś przesunął się kiedy chcemy wysiąść. To nie jest problem innych, tylko nasz własny. Tak więc przeciskam się przodem, a Kasia z całej siły napiera na mnie, by zdążyć wysiąść przy Uniwersytecie Aristotelesa. Spocone i głodne, po zwiedzeniu najistotniejszych, zdaniem Kasi, miejsc, udajemy się na stolówkę studencką. Mam stracha, ale Kasia postanowiła, że będziemy żywić się za darmo. Zawsze tak robi, kiedy tutaj przyjeżdża, dlatego by miała to zmienić tym razem.

– A dlatego, że tym razem jesteś ze mną, a ja na studentkę nie wyglądam – mówię to z nieukrywanym zdenerwowaniem spowodowanym tym, że głupio się czuję wciskając gdzieś na waleta, a do tego poczułam się staro.

– Co ty, nie masz się co stresować, tutaj studiuje się do trzydziestego roku życia, a ty na trzydziecie to wyglądasz z palcem w nosie – śmieje się

Kasia, jakiej nie znam.

Mieszymy się z tłumem ludzi na stolówce. Faktycznie, z plecakiem i w trampkach, nie różnię się bardzo od tłumu. Obie urodą przypominamy tubylców lub studentki z Albanii. Staramy się zachowywać naturalnie i nie rzucać w oczy. Dziś w menu kalmary i na deser Kadafi, niebawale słodkie ciastko. Wszystko wyśmienite, takie jak lubię.

– Fajna zabawa, co? – pyta rozbawiona.

– Ok. Ty świetnie się bawisz, a ja się denerwuję. Przecież mogliśmy zjeść coś na mieście.

– Jasne, ale nie miałybyśmy takiej frajdy i nie pokazałabym ci jednej z części mojego życia w tym mieście.

Nie dyskutuję z nią, bo naprawdę ma z tego radochę.

Wstajemy od stołu i odnosimy naczynia do okienka, przez które wygląda gruby Grek. W połowie drogi przydeptuję sobie rozwiązana sznurówkę trampka i razem z talerzami lecę w powietrzu, a następnie z hukiem i brzękiem tłuczonego szkła upadam na posadzkę. Nagle wszyscy przerywają posiłek, podnoszą się i biją brawo. Kasia pomaga mi wstać i mówi półgłosem:

– To taki zwyczaj, biją brawo, bo stukłaś na szczęście, ale gdzie to twoje wmieszanie się w tłum?

– Wiesz dobrze, że nie potrafię – odpowiadam pewna, że już więcej tu nie zjemy.

Już dosyć lenistwa. Jedziemy do Chalkidiki szukać pracy. Ponieważ mamy ambitny plan pracować jako kelnerki w topowym beach barze, to musimy opuścić panią mamę i Saloniki, bo tutaj nie ma plaży, a co za tym idzie, barów, o jakie nam chodzi. Pierwszy dzień w nowym miejscu poświęcamy na solidne przygotowanie się do rozmowy kwalifikacyjnej. Uczę się podstawowego zwrotu po grecku: „den katalaweno”, co oznacza: „nie rozumiem”. Resztę dnia spędzamy na plaży, leżąc plackiem i marząc o bezmyślnej pracy, przy której reset naszych umysłów będzie jak najbardziej możliwy i o wysokich napiwkach otrzymany od

bogatych gości zadowolonych ze smacznych, zimnych drinków podawanych przez nas z głupim uśmiechem.

Drugi dzień to rozeznanie rynku pracy. Podobnie jak poprzedniego dnia, udajemy się na plażę i sącząc chłodne drinki w kolejnych barach, oceniamy sytuację. Po czwartym drinku stwierdzamy, że takie rozeznanie było niezbędne i kładziemy się pod spotkaną w drodze do kolejnego baru parasolką. Z powodu braku sił zostajemy tam do wieczora. Kolejnego, trzeciego dnia, jesteśmy już przygotowane na rozmowę kwalifikacyjną z właścicielem największego, najbardziej obleganego przez turystów beach baru. Bar jest bardzo ładny, ma świetny klimat, a rozluźnieni turyści relaksują się w cieniu, siedząc w bardzo wygodnych skórzanych fotelach. Zastanawiam się, czy nie przykleją się do tych foteli i kanap, bo temperatura jak najbardziej temu sprzyja, ale czego się nie robi dla bywania w dobrym miejscu.

Przystojny, wysoki Grek, rozmawia z nami bardzo miło i bardzo chętnie. To, że Kasia mówi po grecku, robi świetne wrażenie i kruszy wszystkie bariery. Dimitris, tak ma na imię właściciel, jest pod naszym urokiem, to widać i zgadza się na naszą pracę od zaraz. My jednak robimy sobie jeszcze dwa dni wolnego, praca nie zajac, nie ucieknie, i korzystamy z plaży i słońca.

Opalone i wypoczęte, zaczynamy work. Kasia stoi za barem, komponuje drinki i fantastyczne desery lodowe, ja podaję je gościom, a sporymi napiwkami dzielimy się po połowie, co i tak nie ma znaczenia, bo wszystkie wydatki ponosimy razem. Dni płyną szybko, wieczory które sporadycznie mamy wolne, bo pracujemy na zmiany, właściwie też spędzamy w naszym barze. Atmosfera jest świetna. Przychodzi tu specyficzna grupa ludzi. Interesujący, inteligentni, często specyficzni, ale na pewno wszyscy dość zamożni. Zdarza się, że jakiś klient zaczyna nas podrywać, ale ja jestem mocno nastawiona na nie. Jestem poraniona i przyjechałam tu, żeby zapomnieć o problemach damsko-męskich. Jak już z bogatego doświadczenia wiem, ta kwestia w moim życiu przynosi tylko kłopoty, tak więc, bojąc się mężczyzn jak ognia, udaję, że nie za-

uważam męskich zalotów. Kasia czasami wchodzi w jakiś szybki romans, bo przecież jest dużo młodsza ode mnie i nie dostała jeszcze od życia po tylku. Zakłada, że wszystko jeszcze przed nią i czasami nie wraca ze mną na noc do wynajętego pokoiku. Przyglądam jej się i dochodzę do wniosku, że wszystkie jesteśmy takie same, wchodzimy w układy z facetami jak w żywy ogień. A może są jakieś rozsądne kobitki na tym świecie, tylko akurat ja ich nie znam? Kasia do nich na pewno nie należy. Zauważyłam, że moją męską abstynencję docenia nasz szef. Przygląda mi się często, zagaduje miło i kręci się w barze zwykle wówczas gdy ja pracuję. Nie jestem z tego powodu zadowolona, ponieważ to ściąga na mnie nienawiść połowy damskiego personelu, a w szczególności Angeli, która podobno kiedyś była z nim zaręczona, ale coś im nie wyszło. Uczucia odrzuconej kobiety są bardzo silne i często powodują, że zachowuje się jak nawiedzona desperatka. Tak też zachowuje się Angelica. Ubiera się wyzywająco i próbuje zwrócić na siebie uwagę mężczyzn odwiedzających nasz lokal. Zauważyłam, że robi to najczęściej wtedy gdy w pobliżu znajduje się właśnie Dimitris. Uczucia nienawiści kieruje do mnie. Na Dimitrisie nie robi już nic wrażenia, chyba się przyzwyczaił, natomiast ja jeszcze reaguję żywo i bolą mnie jej złośliwości. Podstawia mi nogę, kiedy na tacy mam osiem drinków, albo wylewa kawę na nową sukienkę. Stosuje bardzo prymitywne dokuczanie, niestety, jest to dość upierdliwe. Najgorsze są wstrętne SMS-y. Nie jestem pewna, czy to od niej, ale nikomu innemu nie zaszłam za skórę. Niechciane wiadomości przychodzą zwykle wieczorem, żeby nie mogła zasnąć. Wypisuje różne wyzwiska pod moim adresem i często straszy, że zrobi coś moim dzieciom. Potrafi tak pisać kilka wieczorów pod rząd o stałej godzinie. Ma naprawdę źle poukładane w głowie i do tego musi mieć jakąś obsesję na moim punkcie.

Pewnego wieczoru usiadłam sama na plaży i myślałam o tym, co właściwie tutaj robię i czy to wszystko miało sens. Dimitris podszedł do mnie, usiadł obok. Przegadaliliśmy pół nocy i prawie nad ranem zapominałam o moim strachu i jeszcze niezagojonych ranach i stało się. Kochaliśmy się na piasku, jak nastolatki, które nie mają mieszkania.

Zapomniałam o wszystkim, o tym, że to mój szef, o tym, że Angelica mnie zabije, że jestem dorosła i powinnam być odpowiedzialna... Zapomniałam... Byłam w raju. Następnego dnia oświadczyłam Kasi:

– Już więcej tam nie pójdę. – Mając na myśli oczywiście nasz Beach Bar.

– No jasne, wielkie mi halo. Przespałaś się z gościem i co takiego? Potrzebowałaś tego, jesteś strasznie samotna. Seks jest niezbędny dla zdrowia i urody. – Śmieje się głośno, ta która nie unika wyżej wymienionego.

– No tak, ale ja nie chcę już tego z nim robić.

– Ok, ale idziesz tylko do pracy, a nie uprawiać seks. Ubieraj się, bo się spóźnimy.

Poszłam. Dimitris myślał, że to dopiero początek, a ja wiedziałam, że zbliża się koniec. Koniec naszego pobytu w Grecji. Czulałam, że jeżeli zostanę, to stracę to, po co tu przyjechałam. Miałam wyleczyć się z facetów i wyczyścić swój umysł. Z posprzątaniem w głowie prawie mi się udało, z facetami właściwie też, więc jeżeli zostanę, to wplączę się w romans z tym przystojnym Grekiem i jak znam życie nie skończy się to happy endem. Po pierwsze dlatego, że taki już mój los, a po drugie, że z ładnym greckim właścicielem baru na plaży, to totalnie nierealne. Muszę uciekać.

– Kasiu, wracamy do domu.

Znamy się bardzo dobrze i w pewnych sytuacjach każda z nas wie, że nie ma o czym dyskutować, że trzeba się dostosować, nawet jeżeli ma się inne zdanie. To była właśnie ta chwila i Kasia wiedziała o tym dobrze.

Zadzwoiła na lotnisko, ustaliła datę powrotu.

Wysiadamy z taksówki. Rozglądam się za koszem na śmieci, do którego mam zamiar wyrzucić kwiaty, które dostałam od Dimitrisa na pożegnanie.

– Nie kręć się tak, tylko wyjmuj walizkę – mówi Kasia, która nie ma dobrego nastroju. Chyba wcale nie chce wracać do kraju, ale nie skarży się, bo

wie, jakie to dla mnie ważne.

Wchodzimy do hali lotniska, nadajemy jedną jedyną wspólną walizkę na samolot do Polski. Z małym plecaczkiem i torbą podręczną snujemy się po sklepikach z gazetami i pamiątkami. Mamy jeszcze trochę czasu. Kasia nic nie mówi, jest wyraźnie smutna. Nie mam odwagi zapytać dlaczego. Właściwie to wiem o co chodzi, nie ma najmniejszej ochoty wracać do rzeczywistości. Ja natomiast już prawie dostaję palpitacji serca na samą myśl o tym, że zobaczę dzieci. Już nic się nie liczy i ta złość Kasi też nie jest dla mnie w tej chwili istotna. Już nie mogę się doczekać, kiedy przekroczymy odprawę paszportową.

– Ok, już czas, idziemy – zwracam się do przyjaciółki.

Nie odpowiada, ale posłusznie powłóczy nogami za mną. Przechodzimy odprawę paszportową i siadamy na plastikowych niewygodnych krzeselkach w sali odlotów. W pewnej chwili do pomieszczenia, w którym cierpliwie czekamy na nasz lot wchodzi duża grupa umundurowanych mężczyzn. Trzech z nich trzyma na smyczy psy bez kagańców. Energicznym, zdecydowanym krokiem zacierają prosto w naszą stronę. Nie jestem w stanie zrozumieć co się dzieje, ponieważ wszystko zachodzi bardzo szybko i właściwie bez słów. Kilka komend wydanych przez jednego z nich, domyślam się, że najstarszego rangą i obie z Kasią mamy wykręcone ręce do tyłu. Mundurowi otoczyli nas, a zdenerwowane psy wrywają się w naszym kierunku. Krzyczę do Kasi:

– Co się dzieje, co oni mówią? Kaśka o co chodzi?!!

– Nie wiem, nie wiem?!!

Na ręce założyli nam kajdanki, a nasz bagaż zabrał młody pigowaty policjant. Poszturchując nas bez krępacji, wpychają do okratowanego samochodu. Kiedy chcę odezwać się do Kasi, dostaję kuksańca w bok od tego, który siedzi przy mnie. Po około dziesięciu minutach jazdy, Kaśka w desperacji wykrzykuje coś po grecku, ale po mimo tego, że dużo już rozumiem, tych słów nie kojarzę i nie wiem co krzyknęła. Nikt jednak nie reaguje nawet na to, że mówi w ich języku. W ciszy jedziemy chyba całą wieczność, kontrola czasu nie ma dla mnie w tej chwili zna-

czenia i nie wiem jak daleko znajdujemy się od lotniska. Nagle samochód zatrzymuje się, drzwi rozsuwają i jeden z czterech policjantów jadących z nami mówi:

– Anamménos! – wysiadać. – I wypycha nas z auta.

Prawie wypadamy na duży wysypany żwirem plac, który rozciąga się u stóp wysokiej chyba na cztery metry bramy, od której odchodzi równie wysoki, ale już niższy betonowy mur. Kasia staje obok mnie i czuję jak jej strach przechodzi na mnie w chwili, kiedy nasze dłonie lekko się dotykają. Mówi do mnie szeptem, prawie nie otwierając ust.

– To jest więzienie, co my tu robimy?

Ja równie jak ona, nie mam pojęcia o co chodzi. Myślę, że to jakaś fatalna pomyłka i zaraz wszystko się wyjaśni. W murze znajdują się małe metalowe drzwi i to nimi zostajemy wprowadzone do środka, do pomieszczenia, w którym obleśny i spocony grubas siedzący za biurkiem, karze nas rozkuć, a później odzywa się po grecku:

– Gdýnomai. – Co znaczy: rozbierać się.

Kasia wykrzykuje o pomyłce, o moralności, o prawach człowieka. Gruby podnosi się zza biurka, podchodzi do niej i z otwartej dłoni uderza ją w twarz. Wolnym strumykiem z jej nosa zaczyna sączyć się krew, za chwilę ścieka na usta i brodę. Potulnie zdejmujemy ubrania. Grubas rzuca na podłogę przed nami szare koszule. Nie pytając o nic zakładamy je natychmiast. Moja jest znacznie krótsza niż koszula Kasi, próbuję ją naciągnąć, ale materiał nie poddaje się. Czuję się strasznie, nie mamy na sobie bielizny. Do pokoju wchodzi kobieta w mundurze, zwraca się do mnie, że mam za nią pójść. Patrzę na Kasię przerażona. Mam ją tu zostawić?

– Idź! – zdecydowanym tonem mówi do mnie wystraszona, ale zarazem pewna siebie. – Poradzę sobie, musisz iść.

Strażniczka więzienna prowadzi mnie długim korytarzem. W pewnej chwili zatrzymuje się, odwraca w prawo i otwiera zielone, odrapane, metalowe drzwi, gestem zaprasza mnie do środka. Nie protestuję, czuję,

że nie mam żadnego wyboru. Wchodzę do małego pomieszczenia z zakratowanym okienkiem. Na podłodze leży cuchnący już z daleka szary koc, w kącie stoi muszla klozetowa. Potulnie wchodzę, przecież nie mam wyboru...